

Co to jest elitaryzm?

W sierpniu, pośród kanikularnej pustki jedynie teatr w telewizji dawał jakąś strawę. Prezentowane filmy są coraz gorsze, a w drugim programie, który miał być tym „elitarnym”, trudniejszym, eksperymentalnym, wręcz skandaliczne. Pamiętam owe dyskusje przed uruchomieniem drugiego kanału, czegoś się po nim nie spodziewano, jakież tam nie padały obietnice. A potem przyszła, jak zwykle, rzeczywistość obnażając cały bezmiar bezmyślności. Pozycje programowe drugiego kanału nie są żadnymi elitarnymi pozycjami. No bo cóż tu jest właściwie tym elitaryzmem, przed którym od lat strzeżemy prostego widza jak przed prątkami groźnych suchot, izolujemy jak przed syfilisem, powołując się przy tym na najbardziej konserwatywne poglądy na sztukę czy rozrywkę, i przed którym bronimy dziewiczości ludu (tego w M3 i z telewizorem) nawet wówczas, gdy nie chronimy go przed dużo groźniejszymi deprawacjami w każdej innej, nie artystycznej dziedzinie życia. Czy są nim wdzięczne, prosiutkie, uczące kultury i dobrego smaku, popularne w pełnym tego słowa znaczeniu mikrosценki Mirosława Żuławskiego z cyklu „Opowieści mojej żony”? Czy są nim nieporównane w klimacie wzory humoru i dobrego smaku, „Divertimenta”, Jeremiego Przybory? Czy są elitaryzmem denne, kretyńskie filmidła trzeciego sortu, które widocznie redaktorzy wstydzą się prezentować w programie pierwszym, a które trzeba gdzieś upchnąć, skoro się je kupiło, częściowo — niestety — od zaprzyjaźnionych sąsiadów? Czy są wreszcie elitaryzmem powszechne, podstawowe kursy języków obcych, które powinny obowiązywać wszystkich w szkole? Więc wykształcenie elementarne to elitaryzm? I jak się to ma do tezy, iż wszystko, co bardziej wartościowe artystycznie, zasługuje na najszerze upowszechnienie (właśnie środkami masowego przekazu).

A jeśli miał to być program nie elitarny, ale po prostu edukacyjny, to powinna była się tam znaleźć przynajmniej połowa

tych wszystkich „Przypominamy, radzimy”, tych produkcyjnych wykładów z zakresu złe funkcjonujących przedsiębiorstw, którymi zamęczają bezradnych laików telewizyjni reporterzy programu pierwszego. Jakaż to zresztą edukacja, skoro ani my — widzowie, ani reporter nie wiemy na ogół, co się w danej fabryce produkuje, jak, z czego, i tylko dowiadujemy się, że coś tam organizacyjnie nie klapuje. Czy może więc być popularne to, co jest dla większości niezrozumiałe?

A jeśli kanał drugi miał być po prostu bardziej wyspecjalizowany i na wyższym poziomie, to czemu jego najważniejsze pozycje, dzienniki — powtarzają DTW z pierwszego programu? Czyżby popularne komentarze panów „z jednynki” były najwyższym pułapem informacji tudzież publicystyki w naszym kraju, którego to pułapu nie da się przewyżżyć? Uważam, że ów drugi kanał nie jest ani elitarny, ani trudniejszy, ani eksperymentalny, ani konsekwentnie edukacyjny, ale jest po prostu śmietnikiem programowym II kategorii. A jeśli jest w nim coś dobrego, to przeważnie w tym samym czasie, kiedy i na I jest coś, co chciałoby się widzieć.

Wróćmy jednak do spraw artystycznych i pozytywnych zjawisk. A więc, jak już wspominałem — teatr i literatura. Lidia Zamkow, kobieta odważna, dała nam inscenizację „Pamiętnika z Powstania Warszawskiego” Mirona Białoszewskiego. W ciągu tych lat mogliśmy się przekonać, jak bardzo powszechnym (nie w statystycznym sensie), jak naprawdę „ludowym” (w najgłębszym znaczeniu tego słowa) przeżyciem i doświadczeniem było dla warszawian Powstanie. Jak dla wszystkich w tym mieście (a może kraju?), niezależnie od szczebla społecznego, środowiska, wieku, kondycji, było to doświadczenie ostateczności, zrównujące jak śmierć, największy, niewyczerpalny temat ich wspomnień. Pisałem kiedyś felieton pod tym tytułem, o tym największym te-

macie wspomnień ludzi zwyczajnych, jak to każda sprzątaczką czy woźną w każdej chwili do tego wraca jako przeraźliwego apogeum swego życia. Wmawia się nam nieraz, że tworzymy historię. Jeśli dzieje się coś ważnego w ciągu naszego bytowania, uczestniczymy w tym raczej pośrednio. Nie ma się więc co dziwić. Ostatecznie nieczęsto się zdarza w „szarym” życiu przeciętnych ludzi, ażeby doświadczali apokalipsy. Świadomość tego ma się instynktownie. Toteż jest zrozumiałe, że gadają o tym powstaniu, gadają w każdej chwili uniesienia, i będą gadać do śmierci. Miron Białoszewski, poeta niby „hermetyczny”, a tak ludowy i plebejski w istocie jak żaden z owych powojennych chłopskich synków wyklygowanych na polonistycznych seminariach, owych Bryllów norwidujących, producentów literackiej cepelii — otóż Białoszewski również gadał o tym powstaniu, gadał i nie wiedział, że to gadanie to jedyny sposób, ażeby o nim opowiedzieć. I tak napisał swoją zdumiewającą książkę. Książka ta wśród niewolników patriotycznej liturgii budziła ostrą niechęć i zgorznienie. Jakże to tak, bez żadnej wzniosłości? Takie zwykle, niebohaterskie ple-ple? A przecież ile przez to udało się powiedzieć, ile przekazać z klimatu rzeczywistości (?). Lidia Zamkow odważyła się wziąć tę tak adramatyczną materię przed kamery i poprzez znakomitą, skupioną kreację Leszka Herdegena trzymać nas w napięciu, wstrząsnąć nami dla uświadomienia nam, czym była powstańcza codzienność, koniec świata ludzi i materii, przy czym w mało którym tekście teatralnym zdarza się w tak minimalnym stopniu grać czy odwoływać się do skojarzeń pozascenicznych. Okazało się, iż nawet ten tekst, na tyle odległy od tradycyjnego pojęcia dramatyczności, stanowiąc może wspólny scenariusz. Zaczynam się na powrót przekonywać do możliwości Lidii Zamkow... A więc, moje wezwania ku telewizji, ażeby wreszcie przestała ignorować polską współczesną prozę artystyczną, nie były zwykłą demagogią.